

Ewa Balcerek i Włodek Bratkowski

Radykalna lewica obudziła się z ręką w nocniku – kobieta-rewolucja okazała się twarzą starego, liberalnego porządku, którą radykałowie przyozdabiali makijażem z własnych marzeń i pobożnych życzeń. A niby kogo spodziewali się radykalni aktywiści na czele protestu przeciwko populistycznej polityce propagatorów Wielkiego Projektu Odrodzenia Rzeczypospolitej Obojga Narodów z podporządkowaną Białorusią? Ci sami, którzy nie dali się omamić hasłom „rewolucji” społeczeństwa obywatelskiego w Białorusi, niczym barany wdepnęli w taką samą „rewolucję” w Polsce.

Polska „rewolucja” służy temu samemu celowi, co „kolorowe rewolucje” na obszarach poradzieckich i różnorakie Wiosny na pozostałych, a mianowicie powrotowi procesu historycznego na tory wytyczone w okresie transformacji, czyli na tory neoliberalnego projektu podporządkowanego utrzymaniu hegemonii Zachodu w jego przeżytej już i nieadekwatnej postaci końca XX wieku.

Hegemonia Zachodu utrzymywała się na kruchej nici przeciwstawienia się alternatywie wobec kapitalizmu reprezentowanej przez tzw. realny socjalizm. Podstawą była zimna wojna i utrzymywanie w ryzach projektów nacjonalistycznych, które zostały przekreślone przez Rewolucję Październikową i powstanie obozu socjalistycznego. Po upadku ZSRR, owe nacjonalizmy zostały spuszczone ze smyczy, nie tylko na obszarze byłych republik radzieckich i krajów satelickich. W ten sposób zwycięstwo Zachodu nad wrażą ideologią pociągnęło za sobą cios w podstawy własnego panowania ideologicznego. Problemy związane od początku z integracją nowych krajów w ramach Unii Europejskiej zilustrowały ten problem bardzo dobrze. Zachód zrobił wszystko, aby utrzymać Wschód Europy w pozycji skansenu folklorystycznego, pozbawionego własnego zaplecza gospodarczego i samodzielności politycznej, która za tym szła.

Niemniej, podobnie jak w przypadku talibanu, Zachód nie docenił potencjału antykomunizmu tkwiącego w pokonanych siłach w owych krajach i ich wyczekiwania na odpowiedni moment, aby dać sobie szansę na rewanż. Przy okazji, liberalny Zachód został w dużym stopniu oceniony jako przesiąknięty wartościami, którym się jakoby przeciwstawiał przez okres zimnej wojny. Liberalizm idzie w parze z wolnościami i swobodami, które zachodnia lewica – odrzucająca kryteria klasowe i proletariackie – przedstawiała jako własne i utożsamiała się z nimi bezkrytycznie. W ten sposób, klasowe i antykomunistyczne siły na Wschodzie (szeroko pojętym, obejmującym świat, a nie tylko europejski kontynent) zderzyły się z koniecznością z obcą ideologią swobód demokratycznych, utożsamianych z kulturą upadku i zgnilizny moralnej, kojarzonej – dzięki głupocie radykalnej lewicy – z ideologią lewicową, ba, komunistyczną. Dla fundamentalistów wszelkiej maści – od islamu do chrześcijaństwa – liberalizm burżuazyjny jest utożsamiany z „komunizmem”.

Dlatego fundamentaliści wszelkiej maści kontynuują swą walkę z „komunizmem” w postaci liberalnych państw Zachodu i wartości rewolucji burżuazyjnej. Kaczyński jest takim samym talibem, jak Chomeini, wyhodowanym przez zachodnioeuropejski liberalizm. Klasy panujące Zachodu usiłują przekierować wściekłość fundamentalistów na siły lewicowe, tak jak sobie z tym radzą lepiej czy gorzej w odniesieniu do fundamentalizmu islamskiego. Ofiarami są siły lewicowe, które mają na tyle debilizmu, że stają w pierwszej linii obrony wartości, które są im obce. Jeśli lewica burżuazyjna chce ginąć w imię wartości burżuazyjnych, to jej prawo. Ale

problem polega na braku alternatywy ze strony lewicy rewolucyjnej, która w postaci polityki partii bolszewickiej potrafiła w przeszłości zasypać przepaść między interesami zacofanych gospodarczo narodów świata a celami komunistów. Dogadali się na bazie rzeczywistych, ekonomicznych i politycznych interesów klasowych i zdołali zamrozić konflikty narodowe na niemal całe stulecie. Co z tego, że tylko zamrozić zdołali – dziś nie widzimy mądrych, którzy by zdołali osiągnąć choćby i tyle. Szczególnie, że nie dążą do tego – polityka panujących klas polega zawsze na tym samym, na szczuciu klas podporządkowanych przeciwko sobie nawzajem.

Jeżeli radykalna lewica przyłącza się do „rewolucji” w płonnej nadziei, że radykalizm walki postawi ją prędzej czy później na czele mobilizacji (bo radykalizacja będzie potrzebowała radykalnych przywódców), to się głęboko myli. Rewolucje są dziś obliczone na korektę trajektorii, która w wyniku nieprzewidzianych skutków doraźnych posunięć politycznych przekierowała się na tory nacjonalistycznego zderzenia interesów politycznie samodzielnych, choć ekonomicznie niesamodzielnych, podmiotów. Liberalna klasa panująca nie potrafi opanować wyzwolonego przez siebie żywiołu fundamentalizmu i wcale nie stara się tego dokonać. Wystarczy jej możliwość zarządzania chaosem, który usiłuje przesterować dla utrzymania własnych interesów i dominacji.

Nie są jej potrzebne jasne i wyraźne sukcesy. Każdy sukces oznacza odpowiedzialność. Tymczasem współczesna klasa panująca bardzo chętnie zasłania się mgłą niejasności, nie do końca określonych interesów i zależności. Podmioty, które usiłują się w tym połapać, aby najlepiej lawirować, jak np. niesuwerenne kraje typu Ukrainy, podejmują wysiłek Syzyfa mający na celu odtworzenie po śladach i aluzjach celów i dążeń swoich panów, aby służyć im najlepiej i zyskać dzięki temu ich wdzięczność. Tyle, że klasy panujące utrzymują jedynie fasadę interesów krajowych, będąc zasadniczo grupą ponadnarodową i grającą interesami narodowymi jak zgranymi kartami. Manewrowanie i manipulacja są tu sztuką polityki, a pryncypialne ruchy fundamentalistyczne są, mimo swej wojennej mobilizacji, bezsilne wobec tego płaskiego cynizmu.

Miraż wolności XX-wiecznej maskuje tylko nieobecność rzeczywistej siły politycznej, która by stała za tymi hasłami. To jest dziś obnażane w wypowiedziach np. E. Macrona i ich oddźwięku nie tylko we Francji, ale i na świecie. Hasła wypowiedziane z pewnością siebie, wsparte dwoma stuleciami dumnej wolności obywatelskiej po Rewolucji Francuskiej, okazują się puste, kiedy tylko wypowiada je aktualny prezydent Republiki Francuskiej. Nikt w nie nie wierzy. Nikt za nimi nie stoi.

Jeszcze nie tak dawno, radykalna lewica popierała noszenie chust islamskich na zasadzie poszanowania dla przekonanych młodych muzułmanek. Inna część była przeciwna temu. Rozdźwięk na linii nie mającej nic wspólnego z lewicowymi zasadami. Czysto taktyczne zagrania, bez woli przewrótca szachownicy i ustawienia własnego pola. I tak cały czas. Dziś liczy się tylko nacjonalistyczna i wojenna retoryka, która wynika z pogromu idei komunistycznej. Lewica przyłącza się do obrony wartości, których główną zasługą było odegranie roli tarana uderzającego w ideologię komunistyczną. Dlatego dziś walczy z widmem faszyzmu, czyli europejskiej odmiany fundamentalizmu religijnego, przeciwstawianego nihilizmowi ideowemu liberalnej zachodniej cywilizacji.

Polityka przeciwstawiania się fundamentalizmowi – udawana bardziej niż rzeczywista ze względu na jego przydatność w zwalczaniu idei społeczeństwa bezklasowego, czyli bez hierarchii społecznej usankcjonowanej religijnie – okazała swą nieskuteczność. Zamierzoną i założoną nieskuteczność. Dlatego wspieranie lewicy burżuazyjnej jest dla lewicy rewolucyjnej

działaniem wbrew własnemu politycznemu interesowi. Ale, aby to zrozumieć, trzeba wyjść z piaskownicy.

Ewa Balcerek i Włodek Bratkowski *Facebook*